Nr. 55. Królewska Huta. Wtorek, 17. Lipca 1888. Rok I.



Górnoślązak wychodzi co Wtorek i Piątek. – **Przedpłata kwartalna** z dwutygodniowym bezpłatnym Dodatkiem Powieściowym wynosi na pocztach, w Expedycyi i u panów Agentów **1 markę**. Pod opaską wysyłany z Expedycyi 1 markę 80 fen. — W Królewskiéj Hucie z odnoszeniem do domu, 1 markę 20 fen. — Pojedyńczy numer 10 fen. **Ogłoszenia** przyjmuje się **za opłatą 15 fen.** od wiersza petytowego. **Listy z pieniędzmi** jako i **przekazy pocztowe** adresować należy: **Expedycya „Górnoślązaka"** **(T. Szczepański)** Królewska Huta (Königshütte O.-S.) **Listy** nadsyłać należy franko pod adresem: **Redakcya „Górnoślązaka"** Królewska Huta (Königshütte O.-S.)

Redakcya i Expedycya znajduje się w Królewskiej Hucie na Cesarskiej ulicy nr. 45.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Z Prus Zachodnich

piszą do „Pielgrzyma" co niżej:

Nie wiemy, do jakiej kategoryi zalicza się szkołę w N......., lecz to wiemy, że dzieci są tam prócz protestanckich bez wyjątku polskie. Przy tej szkole urzęduje dwóch nauczycieli. Pierwszy czyli młodszy jest Niemcem, nie umiejącym nic po polsku. Proszę więc sobie wyobrazić, w jaki sposób się odbywa porozumienie nauczyciela z dziećmi, z właszcza z takiemi, co po raz pierwszy w szkole posłyszą niemieckie słowo.

Szkoła w N......., leży przy drodze i cmentarzu, tak że przy otwartych oknach słychać można wszystko, co się tam dzieje.

Pewnego razu słychać było tamże wielki lament dzieci. Dobrzy przyjaciele zwrócili młodemu pedagogowi uwagę, że przecież nie powinien ostro z dziećmi się obchodzić. Na to odpowiedział z boleścią nauczyciel: „Cóż ja mam biedny człowiek robić! ja nierozumiem dzieci, a dzieci mnie. Gdy niczego nie nauczę, dostanę przy rewizyi naganę z góry. Tracę przeto niekiedy cierpliwość i sam nie wiem, co robię."

Biedny nauczyciel i biedne dzieci! — Skutek tej metody jest ten, że biblijnej historyi dzieci prawie nic nie umieją, a katechizmu ledwo okruchy i to po niemiecku, bez żadnego zrozumienia.

Przegląd polityczny.

— **Cesarz Wilhelm II.** wyjechał w dniu 13go bm. o 7mej godzinie wieczorem parowcem „Aleksandria" do Szpandawy, zkąd udał się nadzwyczajnym pociągiem do Kiel, a nazajutrz przed południem na parowcu „Hohenzollern" morzem do Petersburga. Cesarzowi towarzyszą jenerał-adjutant Wittich i przyboczni adjutanci kapitan marynarki Seckendorf, major Lippe i major Pfuel. — Yachtem „Hohenzollern" dowodził brat cesarza ks. Henryk.

— **Zjazd cesarza Wilhelma** z królem włoskim ma nastąpić dopiero w październiku albo w listopadzie.

— **Minister sprawiedliwości p. Friedberg** podobno ma zamiar urząd swój złożyć. O jakichśkolwiek nieporozumieniach ministra z kolegami nie może być mowy; przeciwnie zasługi, jakie w ostatnich ciężkich czasach położył, znajdują wśród otoczenia jego powszechne uznanie. Wszelako minister już liczy lat 73. Na domysłach, kto będzie jego następcą, naturalnie nie zbywa; najliczniej wymieniają nazwisko p. **Tessendorffa**, nadprokuratora państwowego.

— **Poseł rosyjski w Paryżu**, bar. Mohrenheim, był z powodu przyjazdu swego do Villers-sur-mer przedmiotem owacyi ludności miejscowej, która go na dworcu kolejowym witała okrzykiem: Niech żyje Rosya! Na przemowę prezesa jednego ze stowarzyszeń miejscowych odpowiedział poseł rosyjski, że i nadal czynić będzie, jak dotąd, wszystko, aby łączność Francyi z Rosyą, która dziś już istnieje, utrzymać. Słowa te wywołały wielki entuzyazm i okrzyki: Niech żyje Rosya i Francya!

— Nie bardzo się to zgadza z przymierzem, jakie ma się utrwalić pomiędzy Rosyą a Niemcami.

— **Z Warszawy** donoszą podług „St. Pet. Wied.," że ministeryum spraw wewnętrznych obecnie do Południowej Rosyi wysyła urzędników, aby się przekonać, jakie obszary ziemi zajmują tam niemieccy posiedziciele ziemscy i jaki wpływ niemieccy koloniści na tamtejszą ludność wywierają. Podług wywodów pomienionego pisma mieli rosyjscy poddani się skarżyć na ucisk ze strony coraz liczniejszych niemieckich przybyszów. Z tego powodu czuł się minister zmuszonym w sposób wyżej wymieniony temu zaradzić. Ten sam minister wydał rozporządzenie do urzędów powiatowych, aby przy publicznych sprzedarzach dóbr ziemskich niedopuszczano

WAWRZYNA.

POWIEŚĆ

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dokończenie.)

I poszli do sypialnego pokoju, i stanęli przy kołysce. Matka znowu przyklękła, pocałowała dziecię — i niewiniątko we śnie znowu się uśmiechnęło.

Adolf z przytłumionem westchnieniem rękę brata uścisnął.

Podano herbatę, wieczerzę, i rozmowa ożywiła się nieco.

Potem zaprowadził Edward brata do przeznaczonego dlań pokoju — i zatrzymał się, i odejść mu się nie chciało: bo radby był otwarcie z bratem pomówił.

— Adolf, gdy się sam na sam z nim ujrzał, więcéj jeszcze zposępiał. Przeszedł parę razy pokój, potarł czoło, i stawając przed bratem, głuchym wymówił głosem:

— Rozstałem się z Henryką... Niechaj się dzieje co zechce, już tam więcéj nie powrócę.

— Zostaniesz z nami! — zawołał Edward i wyciągnął ku niemu ręce, i odetchnął, jak gdyby mu ciężar był spadł z piersi.

Bracia długo w noc z sobą pozostali — a cichą ich rozmowę zagłuszał wiatr, który wraz z deszczem po oknach dworka dzwonił.

Nazajutrz rano, mgła deszczowa, morzczyzną zwana, zdawało się, że świat cały zaległa. Edward wyjrzał przede dwór, zapytał o Łukasza — ale nikt dziś jeszcze Łukasza nie widział. Adolf spał, więc znowu do swojego wrócił pokoju. Niezadługo stuk rozległ się w sionce, przede drzwiami kilku posyłszał ludzi — i wszedł Łukasz przemoczony, ale wesołego spojrzenia, a za nim Jan Ziemlak, Wojciech Niwka i Marcin Moręga.

Edward z zadziwieniem ich powitał.

— Wiem wszystko, słyszałem — poszepnął mu Łukasz — wiem, że pan Adolf już się rozstał z żoną, i oto jestci i dla niego ratunek: boć ojciec miał dwóch synów, i o dwóch też pomyślał.

— Tak, wielmożny panie — ozwał się znowu Niwka — przynosimy i drugę połowę tego, co nam nieboszczyk rodzic na sumieniu zostawił.

W téj chwili wszedł Adolf do pokoju, ażeby bratu dzień dobry powiedzieć.

Zdziwił się, zastawszy znanych sobie wieśniaków, a bardziéj jeszcze, gdy mu Edward oznajmił, z czem przybyli.

Ziemlak takiż sam zapis, jak poprzednio, wydobył znowu z torebki, a potem złożyli przed zdumionym Adolfem takąż samą sumę, jak Edwardowi, powiększoną jednakże dwuletnim procentem.

Nadeszła Wawrzyna. Zarządziła dla wszystkich obfite śniadanie. A gdy wieśniacy już uraczeni pożegnali dworek podeliński, pobiegła do rozbudzonego synka, i przyniosła go Adolfowi, wyrzekła:

— Powitaj stryjaszka, Edziu!

I dziecię, przesyłając mu od usteczek całunki, długim dja! powitało stryja.

Adolf wziął go na kolana, przytulił do siebie, i pobawił się z maleńkim.

Pan Jan, dowiedziawszy się o tem co zaszło z Adolfem, radził do rozwodu przystąpić: bo nie należy się nic w połowie robić — wyrzekł, a tyżeś jeszcze młody, mój Adolfie, i jeszcze szczęśliwym być możesz. Teraz zaś idź za przykładem Edwarda: weź w sąsiedztwie naszem dzierżawę i pracuj, jak on, a Bóg ci dopomoże!

KONIEC.

żadnego cudzoziemca do licytowania lub do kupna majątku.

— **Przechodzenie Czechów**, na Wołyniu się znajdujących, do religii prawosławnej nie ustaje. Podług doniesień czasopisma „Wołyń“ odpadło w najnowszym czasie znowu 225 Czechów, zamieszkałych w kolonii Nowiny w powiecie dubieńskim, od wiary katolickiej. Naturalnie że odszczepieńcy nie uczynili tego tak smutnego kroku z przekonania, lecz litylko powodowani zachęcającemi widokami wynagrodzenia, jakie Moskale wszystkim „nawróconym“ przyobiecują.

† Śp. Władysław Wierzbiński.

Smutną wiadomość wyczytujemy dziś w gazetach poznańskich. Poseł i współredaktor „Dziennika Poznańskiego“ Władysław Wierzbiński umarł w piątek dnia 13go bm. o godzinie 2giej po południu.

Wiadomość ta odbije się bolesnem echem w sercach wszystkich rodaków, gdyż oto tracimy znowu jednego z tych mężów, który w obronie wiary i ojczyzny występował zawsze z tą gotowością i poświęceniem, jakiem nie każdy poszczycić się może.

Śp. Władysław urodził się w dniu 13. stycznia 1831 r. w Ściborzu na Kujawach z Audrzeja i Józefy z Zakrzewskich małżonków Wierzbińskich. Rodzina to zasłużona krajowi, ojciec był półkownikiem wojsk polskich a dziad Maciej, który umarł w dzień wzięcia Warszawy przez Rosyan, był jenerałem dywizyi.

Już w młodym wieku okazał zgasły gorący swój patryotyzm. Jako siedmnastoletni młodzieniec bowiem wstąpił w roku 1848 w szeregi narodowe, aby walczyć w obronie matki ojczyzny.

W lipcu 1871-go roku wstąpił do redakcyi „Dziennika „Pozn.“ i należał do chwili, póki go choroba nie złożyła na łożu boleści, t. j. do dnia 14go czerwca r. b.

Jako poseł zdobył sobie w Kole jedno z najwybitniejszych stanowisk. Zdanie jego wysoce tam było cenione, a powszechne uznanie i miłość kolegów otaczały go stale. Temu uznaniu i miłości dano głośne świadectwo, wybierając go w roku bieżącym na swego prezesa, ale wyboru tego śp. Władysław nie przyjął.

W ciągu długoletniego sprawowania mandatu poselskiego występował często na mownicy sejmowej i zabierał głos w obronie najświętszych praw naszych i interesów, jak w sprawie germanizacyi szkół, w sprawie zaprowadzenia do wykładu religii języka niemieckiego i w wielu innych sprawach.

Mówił zawsze jasno, odważnie a z siłą — znać było w każdem słowie, że to, co mówił, czuł serdecznie i że nosił w duszy swej krzywdy całego narodu. Ubytek też jego w Kole polskiem jest stratą niepowetowaną dla całego naszego społeczeństwa.

Smutne przechodzi koleje ojczyzna nasza, gdzie tylko się obrócimy wszędzie trącamy o groby sławnych i zasłużonych mężów polskich. Któż nam ich zastąpi? któż nas pocieszy? Otóż jedyna nadzieja nasza: Bóg, nadzieja, której i w najtwardszych losach naszych nie powinniśmy tracić, a przyjdzie czas, kiedy ten sam Bóg, który nas teraz nawiedza i doświadcza, cierpienia nasze sowitą nagrodą złagodzi.

Kronika kościelna.

Ojciec św. Leon XIII. o wolności człowieka.

(Ciąg dalszy).

Inne zaś przepisy władzy świeckiej niewypływają bezpośrednio z prawa przyrodzonego, lecz raczej tylko pośrednio i ubocznie i określają różne sprawy, o których prawo przyrodzone tylko ogólnie wspomina. Tak np. prawo przyrodzone nakazuje obywatelom przyczyniać się do spokoju i szczęścia publicznego; o ile zaś każdy to ma uczynić w jaki sposób, i w których sprawach, — tego nie określa prawo przyrodzone, lecz prawo świeckie.

Prawo ludzkie w ścisłem znaczeniu tego wyrazu składa się z takich poszczególnych reguł i przepisów życia, wynalezionych i określonych mądrze i roztropnie — i przez prawowitą władzę ludziom nałożonych. To prawo nakazuje wszystkim obywatelom, aby do wspólnego celu wszyscy dążyli i zakazuje im, aby się od niego nie oddalali — a o ile zgodna jest towarzyszką spraw natury, prowadzi do tego, co jest zacnem i uczciwem a odwodzi od tego co jest przeciwnem. Z tego się pokazuje, że norma i reguła wolności opiera się w ogóle na wiecznem prawie bożem, a nie na przepisach tego lub owego człowieka, lub nawet społeczeństwa ludzkiego.

W społeczeństwie ludzkiem prawo wolności nie polega przeto na tem, abyś czynił to — co ci się podoba — bo z tego powstałby największy zamęt i zamięszanie, wskutek czego państwo runąćby musiało; — przeciwnie polega ono na tem, abyś z mocą praw świeckich mógł łatwiej żyć według przepisów wieczystego prawa.

Wolność zaś przełożonych i władz nie na tem polega, aby mogli rozkazywać lekkomyślnie i według swej samowoli — gdyż to byłoby zbrodnią i doprowadziłoby państwo do największego niebezpieczeństwa. Moc i potęga praw ludzkich ta być powinna, iżby łatwo poznać można, że wypływają z prawa wiecznego i aby nic takiego powagą swoją nie uświęcały, coby w tem wieczystem prawie, jako w początku wielkiego prawa, nie było zawarte.

Bardzo trafnie w tej mierze wyraża się Augustyn św. (De libero arbitrio, księga I., rozdział 6, nr. 15): „Równocześnie też sądzę, iż widzisz, że w owem doczesnem prawie nic nie jest sprawiedliwem i prawowitem, coby z onego wiecznego prawa nie wypływało.“ Jeżeliby przeto jakakolwiek władza coś takiego uchwalić miała, coby się zasadom zdrowego rozumu sprzeciwiało i coby rzeczypospolitej było szkodliwe, — wtedyby taki przepis nie miał mocy obowiązującej, ponieważ nie byłby ani regułą sprawiedliwości i ponieważ odwodziłby ludzi od dobrego, dla którego społeczność ludzka utworzona została.

Natura przeto wolności ludzkiej, z jakiejkolwiek strony na nią się zapatrywać będziemy, tak w jednostkach, jak i społeczeństwach, i to tak w przełożonych, jak i w tych, których obowiązkiem jest słuchać, — wskazuje nam konieczność poddania się najwyższemu i wiecznemu rozumowi, który nie jest niczem innem, jak powagą rozkazującego i zakazującego Boga. Ta zaś najsłuszniejsza władza rozkazywania pana Boga nietylko wolności człowieka nie znosi, ani jej w żaden sposób nie zmniejsza, lecz przeciwnie tę wolność broni i jeszcze ją doskonali. Osiągnąć bowiem cel, do którego się zmierza, jest najwyższą doskonałością każdej istoty; najwyższym zaś celem, do którego wolność człowieka dążyć powinna jest Bóg.

Te przepisy najwyższej i najsprawiedliwszej nauki, znane nam choćby tylko dzięki światłu naszego rozumu, Kościół nasz święty, pouczony nauką i przykładami boskiego Zbawiciela, zawsze głosił i wykładał, i nigdy tego urzędu swego nie zaniechał, ani też ludów o tem pouczać nie przestawał. Co się tyczy obyczajów, to przepisy Ewangelii św. nietylko daleko wyższe są od wszelkiej pogan mądrości, lecz wogóle powołują człowieka i pouczają go do nieznanej starożytnym świętości i uczyniwszy go bliższym Bogu, czynią go uczestnikiem doskonalszej wolności.

Po wszystkie czasy wielka okazywała się siła Kościoła w strzeżeniu i obronie świeckiej ludów wolności. Nie tutaj miejsce, aby wyliczać zasługi, jakie Kościół w tej mierze około społeczeństw położył; wystarczy wspomnieć tutaj o niewolnictwie, onej sromocie starożytnych ludów pogańskich, która to plaga dawnych wieków głównie przez pracę i zasługę Kościoła zniesioną została.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wiadomości miejscowe i okoliczne.

Królewska Huta. Komitet lokalny w Bytomiu wyraził w „Beuth. Ztg.“ życzenie, aby obywatele we wszystkie 3 dni t. j. w dzień 17go, 18go i 19go

Przy nucie krakowiaka.

(Opowiadanie z niedalekiej przeszłości)
napisał w roku 1888
Władysław Rabski.

Wziął w ręce lirę i spory dzbanek,
Miodem pierś starą zagrzewa,
Skinął na chłopców, — ci do multanek,
Brząknął, nastroił i śpiewa.
(Mickiewicz)

Lubiłem słuchać opowiadań tego starca, którego w mojem rodzinnem mieście wszyscy znali pod nazwą „pana kapitana,“ a przed którym z szacunkiem schylały się głowy, gdy wolnym, ale pewnym, niemal żołnierskim krokiem przechadzał się ulicami miasta, lub pięknemi cienistemi alejami opodal wałów fortecznych. Często przechodząc koło mego okna zastukał w nie kijem, a gdy jna znajomy mi brzęk szyby odchylałem firankę, wtedy z uśmiechem kiwał na mnie, wabiąc na wspólną przechadzkę. Zwykle też nie namyślałem się długo, lecz chwyciwszy za kapelusz biegłem towarzyszyć panu kapitanowi, którego myśli, uczucia i porywy były echem innych czasów, echem, niezrozumiałem częstokroć dla mnie, wychowańca ostatnich lat życia dziewiętnastego wieku, ale echem mimo to dziwnie przyjemnem. A on? I on mnie lubił, choć czasem gdym sceptycznym uśmiechem odpowiadał na jego marzenia i umarłych romantyków przypominające zasady uchwyciwszy dłoń moją z przestrachem spoglądał mi w oczy, a potem głową potrząsał i drżącym głosem mówił mi wiele, wiele rzeczy, na które uśmiechać już się nie odważyłem.

Pomnę raz, było to jakoś w maju, — pan kapitan spotkawszy mnie na ulicy uchwycił za rękę i po krótkiem powitaniu zapytał:

No jakże? Jesteś wolny chłopcze?

Jak ptak, — odparłem wesoło.

To chodźże, chodźże ze mną. Jesteś mizerny, a powietrze tak piękne, natura tak pełna poezyi, że grzechem byłoby siedzieć w czterech ścianach zakopconych dymem fajczanym. Ot! lepiej zaciągnąć się wonią bzów i kasztanów kwitnących.

Z chęcią zgodziłem się na tę propozycyę i podawszy ramię panu kapitanowi skierowałem kroki ku miejscu zwykłych przechadzek. — Ludzi roiło się pełno, jak to zwykle bywa w maju uroczym, a mój siwy jak gołąb towarzysz w znakomitym humorze śmiał się dowcipkował i żartował, ilekroć zwracałem głowę za pięknemi twarzami kobiet przesuwających się sznurami koło nas.

Wietrzniku! motylu! groził pan kapitan, powiem ja wszystko tej... tej... no! wiesz... tej małej z czarnemi oczyma.

Wtem kataryniarz wygrywający jakieś modne walce i spoglądający błagalnym wzrokiem na przechodniów zmienił melodyę, a ja słysząc nutę krakowiaka półgłosem zanuciłem:

Brunetki, brunetki mi się podobają,
Bo wszystkie blondynki nie stale kochają.

W tej chwili jednak uczułem, że ręka kapitana zadrżała, a twarz dziwnie wzruszona z jakiemś nieokreślonem uczuciem smutku w dal spoglądała.

Panie kapitanie szepnąłem z cicha, czy coś złego się stało?

To nic, odparł po chwili, zwyczajnie... wspomnienia... rozczuliłem się trochę.

Nie mogłem pojąć, zkąd przy wesołej nucie krakowiaka wzięło się to rozczulenie, a choć ciekawość mnie paliła, pytać nie śmiałem, i milcząc postępowałem obok starca, który uchem chwytał cichnące dźwięki kataryuki.

Wreszcie i te przebrzmiały, a pan kapitan ścisnąwszy mnie silniej za ramię skręcił ku bocznej, prawie bezludnej alei. Wiedziałem, co to znaczy. Tam była mała ławeczka, a na niej mój zgrzybiały przyjaciel często opowiadał swoje dzieje czasem wesołe, ale częściej smutne, bardzo smutne.

Ławka była pusta, więc spoczęliśmy obaj i przez chwilę głębokie panowało milczenie. Snać starzec szukał w pamięci związku wypadków, które chciał przedemną roztoczyć, bo wzrok utopił nieruchomo w ziemię, a wargi tylko czasem kurczowo zadrgały. Wreszcie położył zmarszczoną dłoń na mojem kolanie i spytał krótko:

Chcesz słuchać?

Szepnąłem coś o wielkiej wdzięczności, a pan kapitan patrząc przed siebie tak zaczął mówić:

Dzieje listopadowej rewolucyi znane ci z książek, znane i z moich opowiadań. Nie będę ci więc powtarzał ani wzięcia Warszawy, ani wyrunków poddania, dość że usłyszawszy komendę: Lewo w tył! marsz! jakoś strasznie zrobiło mi się na sercu, i gdyby nie szeregi moskiewskich sołdatów drwiąco na nas spoglądających, byłbym płakał jak dziecko. Ot! nie ma co mówić! (tego zwrotu używał kapitan często w chwilach wzruszenia). Przeszliśmy granicę i wnet otoczyli nas Prusacy wężowym pierścieniem. Więc biedne rozbitki broń w kozły postawili, a potem rozeszli się na tułactwo, gdzie kto mógł i gdzie przyjąć zechciano. Ja udałem się najprzód do Drezna, a otrzymawszy od przyjaciół i krewnych trochę grosza razem z innymi podążyłem na gościnną ziemię Francuzów.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

lipca upiększyli domy chorągwiami i t. p. Zapewne obywatele w Bytomiu życzeniu temu wpełnej mierze uczynią zadość.

Szopinice. Niedawno temu przybył na tutejszą stacyą jakiś chłopiec z Wrocławia, ażeby do matki swej do Warszawy jechać. Ponieważ jednakże nie miał ani pieniędzy potrzebnych na dalszą podróż, ani popierów legitymacyjnych, oddano go portierowi pod opiekę. Zarządzone indagacye wykazały, że chłopiec, o którym matka nic nie chce wiedzieć, pochodzi z Wrocławia. Z tego powodu odesłano chłopca napowrót, zkąd przyjechał.

Gliwice. Drogiej jałmużny udzieliła tu na jednym z ostatnich targów pewna pani żebraczce. Zamiast bowiem monety miedzianej wręczyła jej przez omyłkę złotko. Tak wielkim datkiem uradowana żebraczka postarała się o to, aby jak najprędzej zniknąć z widowni, jednakże udało się policyi ją odszukać i złoty pieniądz odebrać.

Koźle. Do jednego z tutejszych szynków wstąpił przed kilku dniami jakiś człowiek, który gospodarzowi wydawał się podejrzany; z tego powodu przeliczono zaraz kasę, przyczem się wykazał brak pieniędzy. Przybyły gość zapierał się z początku kradzieży, jednakże gdy go chciano zaprowadzić na policyą, przyznał się do winy i oddał skradzione pieniądze.

Ostrowice (?) (pow. Głubczyce). Przed kilku dniami przybył tu do oberzy Janotty robotnik Bocian i zażądał wódki. Ponieważ jednakże już był mocno podpiły, nie chciano mu wódki dać, poczem robotnik wyszedł na podwórze, gdzie pomiędzy chlewami znalazł butelkę napełnioną płynem, o którym myślał, że to jest wódka. Przytknął więc butelkę do ust i wypił sporą ilość płynu; nagle wypadła mu butelka z ręki, a on sam padł bezprzytomny na ziemię. W butelce bowiem znajdował się kwas karbolowy, który dlatego postawiono obok chlewów, aby mieć pod ręką lekarstwo do smarowania rany jednej świni. Pomimo natychmiastowej pomocy lekarskiej uległ Bocian wewnętrznym uszkodzeniom, jakie karbol spowodował.

Z Miłosławic nad granicą austryacką donoszą do „Ob. Pr." o wielkiem nieszczęściu jakie się tam miało wydarzyć. Jeden z mniejszych posiedzicieli ziemskich w Miłosławicach pojechał w przeszłym tygodniu z swoim kilkoletnim synkiem na pole, aby przywieść koniczyny. Naładowawszy wóz udał się w przeciwną stronę koniczyska, aby tamże leżącą kosę zabrać z sobą. Tymczasem synek jego wszedł na wóz i przykrył się koniczyną, aby się przed ojcem schować. Gdy tenże powrócił, dziwił się, że chłopiec znikł i kilkakrotnie po imieniu go wołał; nie otrzymawszy jednak żadnej odpowiedzi, był przekonany, że synek poszedł pieszo do domu. Dlatego wepchnął kosę silnym zamachem w koniczynę naładowaną na wóz, i pojechał domu. Przybywszy tu dotąd dowiedział się, że dziecko do domu nie powróciło. Dopiero przy zrzucaniu koniczyny z woza pokazało się, że chłopiec leżał na wozie nieżywy. Kosa przeszyła mu serce, poczem niezwłocznie śmierć nastąpiła.

Lignica. (Strach przed wodą.) Przed niedawnym czasem sprzedał pewien gospodarz, zamieszkały w powiecie lignickim, posiadłość swoją, aby za tą wielką kałużą, t. j. za morzem, tem się stać czem tu w własnym kraju, mu było niepodobnem: bogatym człowiekiem. Z przezorności zostawił on familją swoją na miejscu rodzinnem, sam zaś udał się do Hamburga. Tutaj kupił sobie bilet okrętowy, a ponieważ było jeszcze dosyć czasu do odjazdu, zeszedł przyszły Amerykanin do portu. Tu znajdowały się piękne okręty, a pomiędzy niemi ten, który go miał zawieść do Ameryki. Na widok tego okrętu przypomniały się naszemu podróżnemu nagle różne historye, które dawniej czytał, historye, w których mianowicie okropne skutki choroby morskiej były opisane. Niezwykły wstręt opanował podróżnego, tak że mu się zdawało, iż już na lądzie niebezpieczna ta choroba go opadła. Z tego powodu zaniechał podróży i trzy dni później znalazł się znowu w objęciach swej rodziny z tem mocnem postanowieniem, że już nigdy więcej nie da się skusić do tak dalekiej wędrówki. Wprawdzie posiadłość jego, która mu zapewniała spokojne życie, jest stracona, lecz przy pracy i oszczędności spodziewa się, że, co stracił, odzyska.

— **W nocy** z dnia 9go na 10go bm. przejechał pociąg kuryerski, idący z Berlina do Wrocławia, na stacyi Hausdorf trzech urzędników kolejowych. Dwóch zostało zabitych na miejscu, trzeciemu ucięły koła lokomotywy obiedwie nogi i nie ma nadziei utrzymania go przy życiu. Wózek z paczkami, który stał na szynach i około którego właśnie ci urzędnicy się krzątali, został rozbity i pakiety rozrzucone.

Różne nowiny potoczne.

— **Wypadek Battenberga.** O wypadku, jaki spotkał księcia Battenberga, donoszą z Darmsztadtu: Książę Aleksander powracał dnia 8. bm. z zamku Seeheim, gdzie odwiedził mieszkającego tamże swego ojca, do Heiligenbergu W najciaśniejszym punkcie drogi spłoszył się koń i rzucił się ze stromego, prawie 200 metrów wysokiego urwiska. Woźnica wyskoczył, nim jednak zdołał uchwycić konia za cugle, runął koń i powóz w przepaść. Wyrzucony książę Aleksander chwycił się krzaka, zaś koń i powóz przewaliwszy się przez niego spadli w dół, przyczem i książę również zesunął się niżej. Kawałki powozu zupełnie zdruzgotane rozprysły się po krzakach, koń zaś runął z prostopadłej, około 200 stóp wysokiej skały do Mühlbachu, zkąd wydobytym został ciężko skaleczony, ale żywy. Książę Aleksander odniósł boleśne podrapania i ból w krzyżach, lekarz jednak sądzi, że ból ten nie pochodzi od żadnego zewnętrznego uszkodzenia.

— **Kradzież dziecka.** Na ostatnim odpuście w Milatynie (w Austryi) wieśniaczka jakaś skradła drugiej dziecko. Do włościanki, która miała na rękach dziecię, przystąpiła nieznajoma kobieta i poczęła się zachwycać niemowlęciem. Następnie prosiła matkę, aby pozwoliła jej wziąść dziecię na ręce i pobawić się z niem. Włościanka wzbraniała się. Wtedy nieznajoma wręczyła jej sznur korali w zastaw, że dziecku nic nie uczyni złego i natychmiast je zwróci. Otrzymawszy dziecko do rąk, nieznajoma natychmiast zniknęła w ciżbie ludzi i przepadła bez śladu.

— **Bezrobocie** piekarzy we Lwowie (w Galicyi). Czeladnicy piekarscy zawiązali tam bezrobocie i zaprzestali pracy — i wydalili się za miasto, gdzie biwakują. Pryncypałowie zgodzili się na podwyższenie płac, na ograniczenie czasu pracy na 12 godzin dziennie i na zredukowanie liczby uczniów. Czeladź przyjęła przez swoich delegatów te ustępstwa, lecz żąda, aby niedzielny odpoczynek trwał od godziny 5 z rana w niedzielę do 5 godziny porannej w poniedziałek, a pryncypałowie ofiarowują jedynie dwunastogodzinny niedzielny wypoczynek od 6 godziny z rana do 6 godziny wieczorem. W tych dniach ma ostatecznie przyjść do porozumienia i albo czeladź, obozująca dotąd za rogatką Łyczakowską powróci do roboty, albo wdadzą się w ten spór władze polityczne i wydalą tych z czeladzi, którzy są obcokrajowcami lub nie należą do tamtejszej gminy. Od poniedziałku poczęły się już przerzedzać szeregi strejkujących, gdyż około 30 czeladników żydów, wyrzekło się już odpoczynku i powróciło do piekarni. Pozostało jeszcze 216 czeladników, a pomiędzy niemi 120, którzy przed wybuchem bezrobocia już byli bez zajęcia i którzy najgłośniej gardłują za solidarnością w utrzymaniu strejki, gdyż na razie nic nie ryzykują. Inaczej przedstawia się ta sprawa tej czeladzi, która przed ogłoszeniem bezrobocia miała stałe pomieszczenie i która w obec swoich rodzin ma obowiązki — obecnie trudne do wypełnienia.

— **Wybuch znalezionego granatu.** O bardzo smutnym wypadku donoszą z Nowego Targu (w Galicyi). Dnia 5go bm. rezerwista z Szaflar, Jędrzej Król, znalazł był w lesie pocisk działowy, który przyniósł na bliskie pole do pasterzy i parobków tam zatrudnionych. Widząc nadchodzących polowych, rzucił go na ziemię, w obawie, aby mu go nie odebrano, następnie podniósł go znowu, zapewnił towarzyszy, że nic w nim nie ma niebezpiecznego i powłokę pocisku począł rozbijać kamieniem, aby z wnętrza jego proch wydobyć. Wskutek tej nieszczęsnej manipulacyi nastąpiła straszna eksplozya, przyczem od szerepów rozpryśniętego granatu zginęli na miejscu: Jędrzej Król, brat jego Jan, lat 12; Jan Babiarz, lat 15; Jan Marek, lat 24 i Jan Mucha, lat 12; zaś ciężkie rany odnieśli: Wojciech Migiel, lat 18 i Kazimierz Gołdyn, lat 13. Chłopak Jędrzej Gołdyn został lekko ranny i mógł zeslanej na miejsce komisyi opowiedzieć szczegóły, jakie towarzyszyły katastrofie. Znajdujący się na przechadzce X. wikary Frączek pospieszył do ciężko rannych i udzielił im pomocy duchownej. Wnet też z zarządzenia Starostwa w Nowym Targu była i pomoc lekarska na miejscu. Rannych zaopatrzono jak najtroskliwiej. Dodać należy, że zarówno ludność w Szaflarach, jak i na obszarze, objętym strzelnicą artyleryi pod Nowym Targiem, była należycie pouczoną, że znalezionych pocisków działowych nie można ruszać, lecz donosić o nich władzy wojskowej. Pogrzeb ofiar tej katastrofy odbył się d. 7go bm. przy licznym udziale ludności. W pogrzebie wzięli także udział oficerowie i żołnierze stojącego w Nowym Targu 7go batalionu artyleryi wałowej. Przed złożeniem zwłok do grobów przemówił miejscowy proboszcz, podnosząc skutki lekceważenia tylokrotnie udzielanych przestróg. („Czas.")

Nowiny Amerykańskie.

— **Gdzie robota?** Tak pytają się pisze, amerykańska gazeta „Wiarus", tysiące Polaków z Minnesoty i Wisconsinu, którzy od ostatniej jesieni jeszcze wcale nie robili. Takiego bezrobocia jeszcze tutaj na Zachodzie nie pamiętają. Całe chmary ludu wyjechały ztąd przed miesiącem do północnego Michiganu nad jeziorem Superior, do miasteczek Ashland, Ironwood, Bessemer, lecz połowa z nich dotąd roboty nie ma. Jedni pojechali do Duluth, gdzie teraz wielki młyn budują, lecz i z tamtąd już pisał jeden, że już 3 tygodnie pozostaje bez roboty.

Ludzie tegoroczną biedę tłomaczą sobie w ten sposób, że bogaci kapitaliści republikańscy pościągali wszystkie pieniądze i trzymają je teraz zamknięte w ogniotrwałych szafach, a ztąd brak w kraju pieniędzy. Chcą przez to wywrzeć nacisk na ogół, aby wybrano prezydenta republikańskiego, a jak to się nie stanie, dalejby tak robili, aby obecna bieda dłużej się ciągnęła.

Ktoby wiedział gdzie o robocie, do której potrzebowanoby wiele ludzi, niechaj raczy donieść o tem „Wiarusowi."

(Takie smutne wiadomości dochodzą nas z Ameryki, a nasi wiarusy pomimo tego robią: Marsz, marsz za morze. Przyp. Red.)

— **Polskie pisma.** Powstały u nas, donosi „Zgoda" aż dwa nowe pisma. P. Kruszka rozpoczął wydawać dziennik pod tytułem „Kuryer Polski." Podobno rozpoczął on to wydawnictwo, jak pisze w pierwszym numerze, na liczne prośby Polaków milwauckich. Drugie pismo będzie wychodziło 2 razy pod tytułem „Orzeł Biały." Właścicielami są dawniejsi akcyonaryusze „Dziennika Polskiego," którzy poróżniwszy się z p. Kruszką woleli rozpocząć wydawnictwo bez jego pomocy.

— **Straszne gorąca** ubiegłego tygodnia uczyniły pobyt w naszem mieście (Milwaukee) nieznośnym z tego powodu, że władze nasze miejskie wcale nie dbają o porządek. Faktem jest, że podczas gorąca leżało po rozmaitych ulicach 15 zdechłych koni po kilka dni i wydawało prawdziwie choleryczny smród. Wszystkie nasze pisma oburzyły się na ten nieporządek — może to pobudzi władze nasze do litości nad naszemi nosami.

Kalendarz.

Wtorek 17-go lipca Aleksego w., Sroda 18-go lipca Szymona z L. p. P., Czwartek 19-go lipca Winc. a Paulo.

Wschód słońca o godz. 4. zachód o godzinie 8. minut 11.

Do dzisiejszego numeru dołącza się 14ty arkusz dodatku powieściowego **„Chatka ojca Toma."**

Nakładem T. Szczepańskiego w Królewskéj Hucie G.-S. — Redaktor B. Koraszewski w Królewskiéj Hucie G.-S. — Drukiem Fr. Plocha w Królewskiéj Hucie G.-S.